

Toruń przypomina trochę Kraków — gotycki i zielony. Może nawet gotyk kościołów jest tu konsekwentniejszy i bardziej surowy. Szacowny i świetny ratusz nareszcie poddany został solidnemu remontowi. Jaka szkoda, że nie można wejść na wieżę i ogarnąć lornetą całej okolicy. Odchodzę z kwitkiem, ale na pocieszenie kupuję piękny piernik toruński za 20 zł, wypieczony w dawnej foremce. Niestety, nie można kupić go również gdzie indziej. W ratuszu mieszczą się archiwum i muzeum. Obie instytucje chciałyby się wzajemnie zlikwidować i obie mają swoje racje. Archiwum twierdzi, że wieloletnia tradycja nakazuje mu pozostać na miejscu. Muzeum zaś utrzymuje wspólnie z konserwatorem, że ciężkie akta zagrażają nadwątłemu przez wieki budynkowi. Spór trwa. A tymczasem można sobie obejrzeć nieźle malarstwo polskie z XVIII i XIX w. fatalnie eksponowane, oraz bardzo ciekawą i dobrze urządzoną wystawę średniowiecznych witraży. Nikt niestety w Polsce o niej nie wie — jak również niewiele o samym Toruniu. A szkoda, sezon wycieczkowy za pasem. Toruń myśli o swoich dniach na wzór innych miast. Daj mu Boże szczęście. Oprawdzał mnie po mieście kolega uniwersytecki — a obecnie toruński docent polonistyki, Artur Hutnikiewicz. Pokazał solidnie wszystko, co Baedeker zaznaczyłby gwiazdką: krzywą wieżę, spichrze, kościoły — nawet uniwersytet — jedyny zresztą na północnych ziemiach. Zjeżdżają do niego studenci z dalekich okolic i całego Wybrzeża,

Tuż obok mego hotelu przy ul. Koliątąją widnieją olbrzymi napis na szkole, głoszący, że najprzyjemniejsze są wczasy miejskie. Bodajby ten genialny twórca sloganu do końca życia nie wyjeżdżał z Wrocławia — jak Kant ze swego rodzinnego Królewca. Wrocław pomimo upałów i komarów niezupełnie opustoszał, a nawet nie zrezygnował z ambicji kulturalnych. Wystawy malarskie są czynne — aczkolwiek prawie nikt ich nie odwiedza, dotyczy to zarówno miejscowej, jak i salonu warszawskiego, który znalazł pomieszczenie w jednej z nowowzniesionych budowli Kościuszkowskiej Dzielnicy Mieszkaniowej. Opera dopiero co zakończyła swój sezon. Udało mi się w pełni męczącego lata, w połowie lipca, zobaczyć „Fausta”, „Carmen” i „Giocondę”. Raczej zobaczyć niż usłyszeć. Podziwiałem wytrwałość wrocławskiej publiczności, która wypełniła dużą salę do ostatniego miejsca. Może rzeczywiście droga do wielkiej muzyki symfonicznej prowadzi przez, w miarę banalną, muzykę operową? Zresztą z oglądanych oper najnudniejszy we Wrocławiu był „Faust”, a już zupełnie nie do przyjęcia scenografia, której autorzy nie mają za grosz współczesnych ambicji. Jak strumień orzeźwiającej wody płynął wśród obelisków operowej nudy znakomity taniec świetnie rozwijającej się młodej primabaleriny, Ruty Syldorf.

Teatry wrocławskie wymiasty się na zieloną trawkę — czyli na urlopy. „Polski” szykuje się do wyjazdu w świat, do Charkowa i Kijowa. Nadeszła więc wdzięczna pora go-

dników wyższej rangi. Narada miała charakter gwałtowny i burzliwy. Dotyczyła nie tylko spraw wrocławskich. Dyrektor Marceli Nowak niedwuznacznie dawał do zrozumienia, że waży się los wytwórni. Narada trwała bitych sześć godzin.

O cóż właściwie chodziło? Wrocław posiada tylko dwie hale zdjęciowe, które nie pozwalają na pełne uruchomienie produkcji filmów. Wybudowanie trzeciej hali rozwiązałyby problem rentowności przedsiębiorstwa. Potrzebne jest również własne laboratorium, gdyż wysyłanie materiałów zdjęciowych do Łodzi ogromnie opóźnia cykl produkcyjny i naraża na dodatkowe straty. Niestety, słuszne postulaty wrocławian nie znalazły łaskawego ucha w Warszawie. Zamiast wrocławskiej trzeciej hali postanowiono, wbrew uchwałom sejmowej, zbudować wytwórnię filmową w Warszawie na ulicy Chełmskiej — kosztem 33.000.000 złotych. Nowa wytwórnia, która powstaje na terenie Wytwórni Filmów Dokumentalnych, nie posiada kompletnie sprzętu, w przeciwieństwie do istniejących już placówek — i w perspektywicznych planach jej moc produkcyjną określono ilością 4 filmów rocznie od... 1965 roku. I jakże to wszystko ma sens? Jak wiadomo nasza produkcja filmów fabularnych nie przysparza nam na ogół chwały. Filmy nie cieszą się zbyt dużym powodzeniem. Nie skończyliśmy budować wytwórni we Wrocławiu, nie skompletowaliśmy urządzeń w Łodzi, która też domaga się dodatkowej hali — a tuż obok, w Warszawie wyrasta nowy kikut, nowa deficytowa — jak podkreślają znawcy zagadnienia — wytwórnia. Wice-minister Zaorski tłu-

JERZY HORDYŃSKI

Zapiski z małej podróży

przynajmniej na razie. Bo Gdańsk podjął batalię o takąż uczelnię, twierdząc, że koniecznie jest potrzebna do rozwoju kulturalnego Pomorza. Uniwersytet toruński posiada jedyny w Polsce Wydział Sztuk Plastycznych, żywcem przeniesiony z Wilna. Sprawy plastyki i urbanistyki nie zawsze trafiały na życzliwy grunt. Niewiele lat temu był przewodniczącym miejskiej rady, który chciał koniecznie otynkować gotycką cegłą ratusza, żeby było piękniej.

Tylko o godzinę drogi rozłożyła się Bydgoszcz. Przyjemna i zielona. Miarą ambicji miasta niech będzie nazwa jednej z dzielnic — Wenecja. Miarą liberalizmu w sztuce — nagi posąg łuczniczki na reprezentacyjnym skwerze — popularyzowany na widokowych i w nazwie liczbowej gry. Miarą sentymentu Galeria Wysockiego w muzeum jego imienia. Złośliwy uzupełniłby tę charakterystykę wiadomością, że w miejscowym Klubie Prasy i Książki można bez trudności dostać monografię malarskie wyczerpane gdzie indziej od dawna. O północy pokazywał mi znany skrzypek Statkiewicz nową filharmonię. Ma być wykończona w listopadzie. Sala imponująca. Prosta, akustyczna, nie przeładowana. Dotychczas koncerty odbywały się w sali teatralnej.

A teatr tymczasem wystąpił z premią sztuki Pirandella pt. „Tak jest jak wam się wydaje”... i z ciekawą ankietą wzywającą publiczność do wypowiedzenia się w sprawach teatralnych. Niektóre pozycje ankiety są moim zdaniem pytaniami retorycznymi np.: „Czy chciałby pan(i) widzieć w teatrze: a) więcej niż dotychczas sztuk o określonych problemach (moralnych, społecznych, politycznych, patriotycznych), czy też więcej sztuk rozrywkowych? b) więcej dramatów, czy więcej komedii? Inne pytania brzmią niebezpiecznie: „Czy woli pan(i) dekoracje dające pełne złudzenie rzeczywistości, czy też dekoracje stylizowane, umowne lub fragmentaryczne?” Po co podsuwać ludziom takie szatańskie pomysły? Socrealizm nie śpi.

Sporo młodzieży w Klubie, kawiarniach, na ulicach. Podobno bez określonych pragnień i ambicji.

W bydgoskim Klubie Międzynarodowej Prasy i Książki gości nowoczesna wystawa plastyczna Ireny Kuźdowicz. Prawie nikt jej nie dostrzegł. Jak legenda brzmia o powiadanie, że jakiś kupiec amsterdamski kupił w styczniu obraz Joannu Witt za 3000 złotych.

ścinnych występów. I oto zjawili się moi dobrzy znajomi z Krakowa przywożąc dwie farsy bliżej nieznanego Leopolda Borella. Nawiwni wrocławianie wierzą, że to Francuz — ale ja już w pierwszym akcie „Przedszkole miłości” poznałem łwi pazur jednego z naszych krakowskich kolegów. Sztuka była aż tak krakowska, że przez trzy akty mówiono o zwrocie „drobny dług”, zaś amant Zaczek musiał ukradkiem wypijać wódkę gospodarzowi, czyli Pietruskiemu — nie wierząc, iż ten odda mu do dyspozycji dostateczną dozę wody ognistej. Jednym słowem w teatrze czulem się rozkosznie jak u siebie w Krakowie, za którym bardzo się już stęskniłem pomimo brukselskich cudów. Jeżeli dodam, że Irenka Szramowska biegała po scenie w pięknej pidżamowej bluzeczce, zapomniawszy o spodniach — będziecie mieli pełnię moich wzruszeń artystycznych. Sztuka się tutaj podoba — a wrocławianki ruszyły szturmem na Pietruskiego i Zaczeka. O sukcesach pań, tj. Marty Stebnickiej i Ireny Szramowskiej, nic mi konkretnie nie wiadomo.

Łódzka „Telimena” — siostra warszawska „Ewy” zjechała z rewią mody; kłapa była zupełna, czyli pustka na sali, bo nikt nie ma ochoty ubierać się w czasie gdy nakazem chwili jest obnażanie. Zresztą rychło w czas się wybrali z lansowaniem mody plażowej, bo i tak wszyscy pokotem leżą nad stawkami — w czym kto ma.

Byłem jeszcze na nudnym, aczkolwiek renoirowskim filmie „Helena i mężczyźni”. Bolesław Michałek pieje zachwyty w ostatnim „Filmie” — ale poza ciekawymi zdjęciami wszystko jest przerażająco nudne, łącznie z Ingrid Bergmann, która gra tym razem sentymentalną Polkę, rozdającą margarytki starym lowelasom i młodym bufonom. Zresztą może sobie na to pozwolić, gdyż jej mąż, patriota polski — o imieniu „Włodział”, nie żyje (mieszkał w Petersburgu i zajmował się fabrykacją bomb na cara).

NOWE NONSENSY FILMOWE

Skoro już wlażem w film — trzeba być konsekwentnym i nie odchodzić od tematu. Los mi sprzyjał. We Wrocławskiej Wytwórni Filmowej trafiłem na arcyciekawą naradę roboczą z udziałem podkomisji sejmowej dla spraw filmu. Miał przybyć również w-minister Zaorski, ale wiedziony instynktem samozachowawczym i dyplomatycznym znalazł odpowiednią ilość przeszkód, które zatrzymały go w Warszawie. Wysłał natomiast paru swoich urzę-

maczy, że Warszawa powinna mieć wytwórnię, gdyż ma najsilniejsze zaplecze artystyczne. Ale czy dla paru aktorów opłaca się budować nierentowną wytwórnię? I tak chętnie by dalej jeździli, jak to czynią dotychczas. Ostatecznie Polska nie jest taka duża — a połączenia kolejowe w miarę wygodne. Dyrektor Nowak marzy o skupieniu wokół wytwórni wrocławskiej grona entuzjastów. Kilku reżyserów już postanowiło się we Wrocławiu osiedlić: Haas, Lenartowicz i Wajda. Zresztą na tej naradzie Wajda wyciągał dłoń do Krakowa, zapraszając do stałej współpracy z wrocławskim filmem krakowskich plastyków i aktorów.

I ciekawa historia — wszyscy fachowcy (nie mówię o urzędnikach państwowych) zgadzali się na naradzie, że nonsensem jest budowa warszawskiej wytwórni, że jest marnowaniem pieniędzy — nie będzie ich głos, niestety, nic ważył. Koparki i betoniarki na ulicy Chełmskiej pracują — byle szybko, byle do jesieni zrobić jak najwięcej, bo a nuż Sejm się sprzeciwi, tak jak raz już to uczynił w związku z planami budowy fabryki filmów w Białogórze.

Z szelazących papierków urzędników padają dumne cyfry naszej przyszej produkcji filmowej. A tymczasem dyrektor Arct twierdzi, że z filmami naszymi będzie coraz gorzej, bo nie ma scenariuszy i nic nie wskazuje na to, że stan ten ulegnie zmianie. A dyrektor Arct jest osobą miarodajną i reprezentuje nie tylko siebie, ale wszystkie zespoły autorów filmowych. A cóż postowie od spraw filmu? Niewiele mogą. Ale przynajmniej obiecują, że pchną naprzód sprawę wrocławskiego laboratorium.

Nie jestem sympatykiem rodzimego filmu. Ale skoro istnieje — trzeba się z tym faktem pogodzić. Nie widzę jednak większej potrzeby od surowej dyscypliny finansowej w tej gałęzi narodowego sportu. Tak jest, sportu — bo tu i tam wyniki są na ogół zawodne — a prognozy też. Wytwórnia wrocławska istnieje pięć lat. Posiada zespół ambitnych fachowców, którzy naprawdę nie są winni, że technika nie pozwala jeszcze przenieść w całości Wrocławia do Warszawy. Wystarczy, że już się w niej zmieściło pół Krakowa. Jestem zrędką i takim już pozostanę. Dopóki jednak nasze miasta świecą ruinami, mam poważne wątpliwości, czy rozsądną rzeczą jest uszczęśliwianie nas przez jeszcze jedną wytwórnię rodzimych fenomenów filmowych i czy najbardziej potrzebniejszą rzeczą są pomniki, których nikt nie ogląda — nawet na pocztówkach.